

Adolf Nowaczyński

Polesie Ossendowskiego

Podczas gdy członkowie dożywni tej nieszczęsnej Akademii wpadli z nielicznymi wyjątkami w kompletny marazm i skompromitowawszy i instytucję i literaturę, ze wstydu poprostu oniemieli, zdrętwieli, skostniali i stali za żywa mumiami (akademumje), mniej lub więcej pachnącymi (aloesem), ci, których nie spotkał zaszczyt, a raczej zaszczyt należenia do tej szacownej korporacji pracują w winnicy Pańskiej, jak tam moga.

Szczególnie krząta się Babieniec czyli Babie Kolo (Ekklesiariusai). Nawet żydowiny cokolwiek dały się przeproszyć wspianiem najściem (conquest) kobietom w piśmiennictwo. Wnet dojdzie do gynajokracji tak się nam Amazonki i Amalzonki rozrodziły, rozpiwały i rozpasowały. Można już nawet mówić o „niebezpiecznym niebezpieczeństwie”. Feminizm na całym froncie, choć naprawdę nie ma trzajchat. Jeżeli teraz na najbliższym posiedzeniu tej nieszczęsnej Akademii przyjdzie pod obrady smętnych, wyblakłych karmazynów sprawa porozdzielania laurków (Wawrzonów), to najprawdopodobniej cały centnar bobkowych liści przypadnie i to słuszenie niezmordowanie klekocącym na remingtonach damom i dziewczynom, tembardziej, że je protegują pp. Bejlin i Breiter, Pomper i Pomirowski, Wasserzug i Wasowski.

Jednym z mężczyzn, który nieustraszenie odważają się nadal pisać i drukować jest Antoni Ferdynand Ossendowski, szczęśliwym trafem nie deportowany do haremu eunuchów Kadena-paszy. Opatrzność wynagradza go za to odwagę i za to niewybranie do Przysłuiku Miernot w ten sposób, że Ossendowski jest nadal pisarzem najczęściej i najgęściej tłumaczonym, nadal najbardziej znanym na kuli ziemskiej, i nadal najbardziej czytany i poczytny. Ten mały mało-wielki Kadenek robi biedaczko co może; kombinuje, kalkuluje, lawiruje, stara się, siera się, kłania na prawo i lewo, wprzód i w tył, i nie pomaga. Coś mu tam gdzieś nawet przetłumaczyli, ale czyta nadal się nie kwapią ni obyć ni swoi. Nawet zniecierpliwiony przezeń konkurent-rywal Boy jakoś się tam trzyma na powierzeniach, fluctuat, nec mergitur, Kadenek-Krakauerczyk, który Ossendowskiemu odmówił patentu na sanacyjną immortalię, dla czytelnika i wypożyczalni już jako ten „żywy kamień”, nieboszczyk, skończył się, leży na desce i choćby mu zagrali Pierwszą Najlepszą, już mu nie pomoże ani „Święty Boże”...

Ossendovius zasię pelen wigo-ru, rozmachu i wieczystej młodości! Ile razy zmierzni go do cna warszawskie podwórko literacko-prasowe i ta nuda sakramencka, i te walki pcheł z komarami, i to omlaniecie raz jednych raz drugich i te wyczyny „miśkłych biesów” i te Pentaki i Ipsiki, tyle razy gdzieś znika i zaszywa się w przyrodę i w samotność. Po jakimś czasie wraca chudszy, opaleńszy, sprężysty, zawsze pogodny, zawsze miły, serdeczny, ludzki, wyrozumiały, roześmiany, no a w ręku skrypt, gruby skrypt:

— Masz Zosienka rękopis.

Raz to będzie nowela, raz powieść, raz Afryka, raz Palestyna, a raz znówu najmlodsza książka, rozpoczynającego się sezonu:

POLESIE

Zdaje się, że dzieło ostatnie będzie wielką wygrana Ossendowskiego i zdaje się, że to będzie odkrycie naszej Atlantydę. Jest rzeczka pewną, że tak o tej ziemicy nikt jeszcze nie napisał.

Alc zdaje się też, że jak Witkiewicz Podhale, tak Ossendowski odkrył pełne Polesie. Tak wy-czerpując i tak miłośnię. I zdaje się, że Ossendowski przy tej okazji odkrył też samego siebie, nowego siebie, innego siebie. Melancholia początków jesieni żywota widocznie synchronizowała, czy harmonizowała z ciężkim, gluchym smętkiem krajobrazu... Po przedziwnym miał bardzo mocnych i niebezpiecznych, bo Konopnicką i Wyszenhoffa, nie mówiąc już o pomniejszych, przygodnych, ale

także dobrej rangi. A jednak wyszedł obronną ręką, i kto wie czy krytyka nie zaopiniuje, że to jego standard - work i kto wie czy weszła pismo nosem Kadenek swoją czeladką nie zechce go obdarzyć nawet pierwszym „wawrzonem”, którym jako żywo niczego podetrzeć ni można ni się godzi.

Do pełnego sukcesu i triumfu tej czarującej książki przyczyniło się zmobilizowanie fotografów, którzy okazali się czystej krwi artystami. Dość wymienić Bułhakę i Platera, którzy tym razem przeszli siebie samych, a w książce można zobaczyć, jak właśnie przechodzili. Ale fotografie to są, jak dawniej bywały, inkunabuly. Można z nimi, ale można i bez nich. Dzisiaj lepiej z nimi, skoro się widzi czarno na białem, że takiego kompletu prześlizgnięć o-mal rozczulających swym cza-rem zdjęć nie miała dotychczas żadna książka polska. Ale tekst sam jest tych ilustracji więcej niż godny, bo ten tekst jest i solą i wirtuozoskie solo, podczas kiedy obrazowość to niejako akompaniament.

Do świetnej książki Ossendoviusa każdy może odnieść się

inaczej. Myśliwi znajdą tu Golconde i Szecherezadę równocześnie. Nie można się dziwić, że im przy czytaniu ślinka z paszczą się będzie, że ich co chwile poderwie i że odtąd wszyscy z domów będą uciekać w tamte strony, aż się ich wreszcie kilku zagazowanych w błotach potopi. Malarzy zacznie tam ciągnąć uroczyskowa tajemniczość i dżunglowość, która ongi wabiła i oszalała drogich nam zmarłych. Falata i Mackiewicz. Po książce Ossendowskiego zamiast całymi czeredami zjeżdżać do Kazimierza, jak mchy obsiadać izraelskie miasteczko, a potem pstrzyć piotna do nieskończoności, zaczęła wreszcie tam ciągnąć i tamto uwieczniać. Może jak Barbizon przyjdzie l'ecole de Luniniec...

Manjak natomiast znów na to malarskie dzieło Ossendowskiego reagować będzie inaczej. Manjaka przy lekturze Polesia nagle zacznie rozpromieniać całkiem inny problem. Jak dawniej przed wojną, każdy niepodległościowiec, a więc każdy normalny inteligent polski do każdego zagadnienia z każdej dziedziny dostosowywał i doczepiał zaraz: polskość (słona

Polska. Szkoci a Polska, abstynencja a Polska, alkoholizm a Polska i t. p.), tak manjak mając przed sobą „Polesie” profesora-wojownika ni stąd ni zowąd niespodziewanie w świecie doczepi wam i do tego swoją ideę persecutive (zwangsge-danke).

Oczywiście nikt tym razem nie domyśli się jaka. Każdy będzie przekonany, że z t e m to chyba niema żadnego związku...

Tymczasem atoli tak nie jest. Właśnie że Polesie, Polesie z t e m może mieć wielki związek.

Proszę tylko chwilę zastanowić się i rozmyślić nad całością zagadnienia. Dobrze jest obok książki Ossendowskiego mieć pod ręką rozłożoną dużą mapę Polski. I wtedy się widzi zdumionem okiem to, czego się nigdy nie przypuszczało, co nie leży w świadomości normalnego inteligenta, to o czym się przeciętnie nie wie, a o czym się nigdy nie mówi, a co jest najważniejszym problemem państwowym

przyszłej generacji

Hierarchicznie to układało się tak: najważniejsze: dostęp do morza. Dalej: wojsko, to znaczy, że w dawnej konfiguracji geo-po-

litycznej Polska nie tylko będzie państwem militarnym, ale musi być właściwie i na stałe obozem. Drugie więc: wojsko. Trzecie: węgiel (Górny Śląsk). Czwarte zaś równie ważne: Polesie. Dlaczego Polesie? Dlatego Polesie, że Polesie zajmuje jeżeli już nie jedną piątą całego terytorium poleskiego, to w każdym razie

jedną szóstą.

Oczywiście nikt nie wie (sic!), nikt sobie nie zdaje sprawy i nikt o tem nie mówi, jeśliż nie mówi. A już powinni mówić wszyscy. Jedna szóstą część mocarstwa, to są mocarstwa. To są nieużytki, lasy, bagna, wody, gaje, łąki, strumyki, polowania, puszcze, dżungle, głusze, pardwy, jelenie, torfy. Poleszki, barcie, wody, bagna, lasy, gaje, dżungle, sitowia, ostrowia, strumyki, brzozy, topole, chałupy, woda, bagna; moczary jedna szóstą część mocarstwa.

Dziś rok 1934, październik, a tam także październik, ale rok 934, jak za Rzepichy i Cyryla. Ryby, grzyby i wogóle podobno, jak przed potopem, bo podobno i ichtyozaury się trafiają i mastodonty oraz kaleoptery. Jedna szó-

sta część państwa, to same torfiska, bagniska i ludziska z epoki kamienia łupanego. Dla m y ś l i w e g o, to oczywiście raj („gdy pudłuje, nic nie widzi, nic nie czuje”).

Dla m y ś l a c e g o natomiast to nie jest raj, to jest problem, wielki problem jeden z czterech najważniejszych. Co zrobić z tym... „rajem dla myśliwych”, równocześnie z bezmiarem nieużytków tak wielkim, jak poniekąd re-cze państwa w Europie? Polesie, to jest półtora miliona hektarów ziemi, autentycznej ziemistej ziemi. Już nad tem różni myślicy ludzie jednak od dawien dawna rozmyślają. Są nawet szerokie i gigantyczne plany, są w tem poważni specjaliści (inżynier Powierza). Tak tego przecież zostawić jeszcze na drugie lat dziesięć chyba nie można i nie wypada. Na Górnym Śląsku przemieszkują 300 ludzi na jednym kilometrze kwadratowym, przeciętnie w Polsce 83, a tutaj, gdzie Ossendowski z fuzją brodził po kolana w wodzie, bywa, że i 19-tu na kilometr, a milami i dziesiątkami mil żywej duszy, a... żyda na lekarstwo...

Oczywiście każdy teraz przypomniał sobie dość rzadkie słowo: melioracja. Ale jak i czym i z kim? Il d u c e Mussolini osuszył Bagna Pontyjskie i nawet tam miasta pobudował. Ale tego było raptem 75.000 hektarów, a tu u nas półtora miliona. Podstawowe koszty już obliczono: 276 milionów. Skąd na to fundusze wydusić, myśli sobie inżynier Powierza i jego ludzie. I martwi się i głowi się, i głową o mur bije, a cały problem nie rusza z martwego punktu.

I wtedy Manjak wyciąga najspokojniej i kładzie na zielone sukno debat... zwykłe sobie jajko Kolumba.

Zydy. „Polski Birobidżan” czy polska Uganda. Część Polesia Ossendowskiego odgrodzić, odłączyć, odseparować i oddać, jak im oddalić Krymu! Samostojne województwo żydowskie ze skoncentrowaną osadniczą rolniczą emigracją. Ziemi! wystarczy. Odciaży się przeludniony Zachód i Centrum, odciaży, oczyści a luftmenschen thum osadzi na stałem. Innego rozwiązania kwestii żydowskiej ani niema, ani nie będzie.

Przekierowanie stosunkowo najzdrowszego fizycznie elementu „młodzieżowego” do Palestyny w tym roku jeszcze bardzo efektywne i efektowne, w przyszłym roku zacznie się kończyć spowodu nadchodzący bezapelacyjny arabski „revival” (po polsku: pogrom). Jak się dla nich nie stworzy jakiegoś koncentracyjnego rezerwatu, to nas zduszą, bo muszą, bo sami nie mają innego wyjścia. Jedynie wyjście i wylew (outlet) może być tutaj na miejscu. Frejland. Co jeszcze Palestyna zmieści to niech wyjeżdża, a reszta na... Polesie, na część Polesia. Umieli być pionierami w Erec i tam osuszać, to potrafią i tutaj. Przeznacza się na to tę część, która jest własnością Skarbu państwa, to znaczy 11 proc., z czego już może być piękny obraz. Rzecz prosta, że wtedy cały kapitał na meliorację całego Polesia daje żydostwo międzynarodowe. Shylockracja, Wall-Street, Mędrzy Syjonu, firmy i domy: Sassoon, Dreyfuss, Mühlstein i t. p. Rzecz prosta, że całe przedsięwzięcie nietylko bez żadnej krzywdy dla tubylców, ale właśnie tak, aby przeniesieni małorolni chójnie zostali oddarzeni ziemią. Pierwszym polskim high commissioner, t. j. wysokim komisarzem, jak w Palestynie, Poale-Polesia może być ewentualnie wojewoda z rodu i z gatunku Kostków, oczywiście nie nie mający podobnego do św. Stanisława Kostki...

Idea Manjaka przy lekturze ślicznej książki Ossendowskiego, pozornie może wydać się ideą idjotyczną, literacką, barokową groteskową. Przy bliższym poznaniu, rzecz kwalifikuje się do dyskusji. Przedtem atoli należy przeczytać książkę Ossendowskiego o tych uroczych bagniskach, moczarach i topielach, a potem dopiero zdecydować, czy nie w tamte okolice należałoby nakierować Naszych Najmilszych.

L. Ciechanowiecka

U Jasnorzewskiej

Wywiad z taką poetką, jak Jasnorzewska, to wywiad z motylem. Trzeba nakłuwać tę-czobarwnego motyla szpilkami pytań, potem przyglądać się z szatańskim uśmiechem, jak się wiję, trzeba brać pod mikroskop pyłek złoty i liczyć kolorowe centki na skrzydełkach...

Miałam tremę idąc do Jasnorzewskiej, ale nabrałam odwagi, gdy się do mnie uśmiechnęła niebieskimi oczami... Jest bardzo miła, niesłychanie kobieca i prosta i taka niekobieco-skromna... Zobaczyłam panią o twarzy madonny włoskiej, otuloną w miękkie domowy płaszczyk, płowy a przylutny, jak futerko angorskiej kotki. Wsunęła maleńkie dionie w szerokie rękawy, bo z otwartego okna bije chłód październikowego poranku i usiadła w fotelu, plecami do okna. Widzę teraz tylko chiński cień głowy o rozwichrzonych włosach, okalających nieskazitelny owal. Chwilami, gdy odwróci głowę blask poranka zapala się w szmaragdowych oczach. Co to mi one przypominają... Pewien wiersz Jasnorzewskiej:

Włosy płowe od jedwabiu miększe,
i myśli pracujące własną szczęrą
usta mniejsze od oczu, oczy od ust
[praca]
[większe]
wszystko skazane na śmierć,
[niewiadomo za co?]

Najprzód mówimy o premierze. W Krakowie „Pszennica” wywołała istną burzę. Wczoraj dyskusyjnym nie było końca. Kłócono się i spierano na temat mego, co miał kompleks ojcostwa, na temat udręczonej żony - ofiary egoizmu męskiego, na temat małżeństwa w ogóle.

— A jak się pani zapatruje na małżeństwo? — Zapytuje pani Jasnorzewskiej, która zresztą nie wahała się trzykrotnie wstępować w niebezpieczne związki. — Jak to jest naprawdę, kto z nich dwojga — on czy ona, jest stworzone do małżeństwa.

— Mężczyzna — pada nieoczekiwana odpowiedź — mężczyzna jest twórcą, jego żywiołem praca (ach jak ona ślicznie po-gołębiu grucha każde „r”). Mężczyzna potrzebuje spokoju, musi ujmować w tamy swoje życie erotyczne. Miłość nie może mu przeszkadzać. (Uśmiecha się trochę ironicznie). — Nielubi być zadanem zakochany. To mu komplikuje życie. A małżeństwo to spokój, opieka, podział zajęć. Mężczyzna jest stworzony do małżeństwa, dowodzi to, iż rzadko interesuje się swoimi nieślubnymi dziećmi, a nieodmiennie kocha „bez pamięci” swoje legalne dzieci.

Śpiczastym palcem poprawia niesforne włosy, opadające na wysokie, gładkie czoło. Myśli

przez chwilę.

— Kobieta jest poezją. Mężczyzna — pracą. — Może takby się to dało sformułować — dodaje pytając. — Kobieta chciałaby uczynić z życia dramat erotyczny, film pełen silnych, pasjonujących uczuć, a mężczyzna broni się przed zbyt gwałtownym uczuciem, które mu przeszkadza w dążeniu do poważnego celu.

Poetka, która buduje dramaty — to ciekawe zjawisko.

— Jakże się to zaczęło? Kiedy pani zaczęła tworzyć sztuki?

Odpowiada cichym głosem, rzucając szybko oderwane zdania, jakby je wylawiając z niepamięci.

— Pewnego razu postanowiłyśmy z siostrą napisać sztukę, na żart. Skomponowałyśmy wtedy wśród śmiechu i zabawy „Szofera Archibalda”. No i od razu go przyjęło. Co to była za radość. Nawet zarobiliśmy trochę pieniędzy i pojechaliśmy na Riwierę. Ale potem coś za rozczarowanie... Oto, gdy w jakiś czas później postanowiłam napisać sztukę serjo — okazało się, że dyrektorzy nie brali mnie na serjo.

Potrząsa smutnie głową i mruczy oczy trochę szelmosko.

— Wie pani dlaczego tamtą przyjęli, bez sprzeciwu. Bo ją napisały dwie siostry, trochę narwane dziewczyny, córki znanego malarza. Potraktowano to jako sensacyjny żart, psotę, figiel — kasowy. A ja tymczasem uwierzyłam w moje postannictwo i w pocie czoła ułożyłam nową sztukę, pełną niesamowitych, wizjonerskich sytuacji. Jak dziś pamiętam, gdy dyrektor oświadczył mi, że jej nie przyjmie, jadłam właśnie barszcz (w Oazie) — nagle ten barszcz stanął mi kością w gardle, oniemiałam, serce bić przestało, musiałam uciec z sali. Ach to było przeżycie... Ale dyrektor miał słusność — daje go chwili.

— Pani pewnie tworzy bez trudu? Jak słowik?

— Gdzieś tam. Mozole się nad każdym słowem. Nie rozumiem tych, co mówią, że potrafią napisać sztukę w tydzień. „Pszennicę” uprawiałam dwa lata. Przecież to nie wystarczy zbudować trzy akty, wraca się co chwila do każdej sceny, zmienia się słowa, sytuacje, postacie — widzi się je coraz wyraźniej. Wiele cennych wskazówek dawał mi dyrektor Krzyżowski — żeby każda postać traktować, jak odrębny świat, uni-

kając zbędnych postaci statystujących na scenie. Służąca w „Pszennicy” miała wygłosić szablonowe „podane do stołu” — ale kazałam jej milczeć. Pielegniarka, ogrodnik (Leliwa był cudowny w Krakowie), Karolcia — to postaci podpatrzone, żywcem schwytane. Taksamo ta nieprzychylna teściowa; tłukąca się przez życie własne i cudze, jak pijana, którą tak genialnie odtworzyła Dulebianka.

— A wiersze — jak pani tworzy wiersze. Niektóre z nich musiały się pani chyba wyśnić, albo spadły na panią, jak deszcz kwiatów.

(...na wielkich samotnych polach

[Waterloo

zerwane kwiatki...])

— Jak to jest, jak to jest — powtarza szeptem wpatrując się w spłowiałe makaty, zdołające ściany — najprzód jest przeżycie. Potem tworzy się wokół niego mgławica, a z niej wylania się zwolna poetycki kształt. Nie umiem tworzyć wierszy, nie przeżywszy ich całą duszą. Ilekroć próbowałam coś stworzyć bez pomocy tego ciała astralnego — nic nie wychodziło. — A ja pamiętam, jak Ilakowiczówna mówiła kiedyś pół żartem, pół serjo, że talent to zająć na pół miski, w spiżarni. Ktoś zamawia wiersz — wtedy odkręca się kawałek zająca i wiersz gotów. Równie dobrze można by przyrównać talent do miodu w garnku, stojącym na półce. Czerpie się z tego garnca i odważa — sonet, lub piosenkę.

— Ach Ilakowiczówna, Ilakowiczówna czy Tuwim, to już taka najwyższa klasa poetów — powiada Jasnorzewska, — oni bezustannie żyją w poetyckim transie. Nie potrzebują czekać, na natchnienie. Cieszą się, że mogą mówić o Ilakowiczównie. Tyle jej zawiądzę (w głosie jej teraz dzwięczy ciepła nuta), jest taka szlachetna i wielka. Jej wiersze pachną lasem, ziołami, są pełne słońca. Ona jest dla mnie syntezą polskości w poezji. Wczoraj dostałam od niej po premierze uroczysty wierszyk i takie (roztwiera ramiona, jakby chciała odmierzyć cały stół) — taaakie pu-dło czekoladek. A oto wierszyk...

„Sława to mała przyjemność a bardzo wielka pila.

„Potrzeba dużo (urwała i wpatrując się w maleńki bilecik, powtarza — czego? czego? — aha — już widzę — „cukrrru” (zagruchala po gołębiu) „żeby osto-

NAGŁA DEPEZA!... PILNA SPRAWA!...

SPÓZNIENIE GROZI CI KŁOPOTEM,

LECZ SZYBKO MIJA TWA OBAWA,

GDYŻ WIESZ, ŻE ZDĄŻYSZ S A M O Ł O T E M.

